



CZAS NARCYZÓW

JAK UNIESZCZĘŚLIWIAJĄ SIEBIE I INNYCH.
JAK DEFORMUJĄ DEMOKRACJĘ.

W numerze:

Narcyzm, czyli upadek człowieka publicznego

Bartłomiej Radziejewski. 3

Rewolucyjno-umiarkowany program PiS

Artur Wołek. 9

Tajwan jak Finlandia

Radosław Pyffel. 11

Brakuje nam konsumenckiego ruchu oporu

Krzysztof Wołodźko. 13

Gospodarzem samorządu muszą być mieszkańcy

Józef Orzeł. 16

Pułapki tezy postkolonialnej

Leszek Skiba. 19

Narcyzm, czyli upadek człowieka publicznego



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Polityka jest domeną stosunków bezosobowych: interesów, praw, dominacji i podporządkowania. Szukając w niej intymności, tracimy z pola widzenia istotę rzeczy. I stajemy się łatwym obiektem manipulacji.

Stwierdzenie, że w dzisiejszej debacie politycznej dochodzi do pomieszania tematyki publicznej z prywatną, niesłusznie uchodzi za banał. W istocie mamy do czynienia nie z pomieszaniem, ale z zalaniem debaty przez agendę prywatną, która zdominowała publiczną, spychając ją na daleki margines.

Żeby się o tym przekonać, wystarczy porównać nagłówki dzisiejszych gazet – tych mieniących się opiniotwórczymi, a coraz częściej podążającymi za brukowcami, będącymi w coraz większym stopniu rzeczywistymi opiniotwórcami naszych czasów – z tymi sprzed 50, 100 lat. Na każdym kroku rozwody, romanse i osobiste cechy polityków zajmują w debacie wielokrotnie więcej czasu niż ich decyzje związane ze stanowieniem prawa, wydatkowaniem pieniędzy podatników, grammi interesów.

Całe zastępy intelektualistów i komentatorów, powołanych do objaśniania meandrów polityki zwykłym ludziom, zamiast analizować zmiany w przepisach i rekonfigurację układów sił – oddają się

domorosłemu psychologizowaniu. W efekcie przeciętny członek demokratycznej publiczności ma bardzo blade (i coraz bledsze) pojęcie o tym, co się dzieje w sferze rzeczywiście publicznej – jak wydawane są jego pieniądze i jakim prawom podlega. Wie natomiast coraz więcej – a przynajmniej tak mu się wydaje – o politykach jako ludziach prywatnych.

Nadal umiemy mówić. Ale w sferze publicznej używamy tej zdolności głównie do bełkotania o sprawach nieistotnych.

W poszukiwaniu aprobaty

Jak mogło do tego dojść? Najbardziej kompletnej i najciekawszej znanej mi odpowiedzi udzielił amerykański socjolog Richard Sennett w książce „Upadek człowieka publicznego”. Jego zdaniem za inwazję prywatności do sfery publicznej odpowiada plaga narcyzmu. W sensie psychiatrycznym jest to najczęstsze zaburzenie osobowości w dobie późnej nowoczesności. W wymiarze filozoficznym narcyzm oznacza właśnie odwrócenie

relacji między sferą prywatną a publiczną: odtąd interesujące w polityce jest przede wszystkim to, w czym można dostrzec grę osobowości, aspekt prywatny.

W punkcie wyjścia Sennett reinterpretuje mit o Narcyzie. Młodzieniec ten utopił się, jak wiemy, w wodzie, obserwując swoje odbicie. Przywykliśmy sądzić, że stało się to z powodu samozachwytu. Socjolog podkreśla inny aspekt: zaabsorbowanie sobą tak dalekie, że prowadzące do zaprzestania odróżniania rzeczywistości wewnętrznej od zewnętrznej, aż po zgubę.

Analogicznie narcyzm jako zaburzenie osobowości nie oznacza wcale (wbrew potocznemu mniemaniu) samozachwytu. Przeciwnie: cierpiący nań ludzie są chronicznie niedowartościowani i niezadowoleni z siebie, nieustannie poszukując aprobaty. Obiektem ich miłości własnej nie jest prawdziwe „ja”, lecz wyidealizowany wizerunek, który pracowicie tworzą na użytek otoczenia.

Oddajmy głos psychologowi i psychoterapeucie Wojciechowi Eichelbergerowi: „Narcyz nie tylko siebie nie ceni, ale przede wszystkim nie zna. Wie, jaki chciałby być, ale jaki jest – nie ma pojęcia. W dzieciństwie nauczył się, jaką ma grać rolę, aby ważne osoby z jego otoczenia były z niego zadowolone. Jednocześnie przeczuwa najgorsze: »Jestem nikim, nic niewartym zerem, bo tym, jaki jestem naprawdę, nikt się nigdy nie zainteresował«. Wydaje mu się, że psychologicznie nie istnieje poza rolą, którą gra.

Odbity wizerunek musi być idealny, każda rysa to ogromne ryzyko. »Przecież ciągle ktoś na mnie patrzy«. Narcyz nie akceptuje siebie, więc akceptacji szuka na zewnątrz. Jest skrajnie wrażliwy na opinie innych o tym, jak wygląda, jak jest ubrany, jak się zachowuje. Sam też nie spuszcza z siebie krytycznego spojrzenia.

Chce mieć kontrolę każdego szczegółu przebrania, scenografii i skryptu. Pacjent mówi: »Czasem mam wrażenie, jakbym stał z boku i ciągle siebie oceniał«. Narcyz dźwiga ciężkie, wymagające lustro, w które co chwila zerka. Obsesyjnie też korzysta z prawdziwych lusterek, żeby nadzorować swój wygląd i swoją grę. Nie idzie do łazienki zrobić siku, tylko popatrzeć, czy wszystko jest pod kontrolą” – puentuje swój wywód Eichelberger.

**Dominacja intymności
w domenie publicznej –
walcie wspierana przez
lubiące jaskrawe skrót
media elektroniczne –
premiuje uwodzicieli,
karcąc zarazem „partie
niedostatku i powagi”**

Tak zaburzona osobowość unieszczęśliwia zarówno jej posiadacza, jak i jego bliskich. „Gardzę ludźmi, którzy mnie cenią”, „to musi być jakaś idiotka, skoro zakochała się w kimś tak beznadziejnym jak ja” – te pozornie paradoksalne wyznania narcystycznych pacjentów są zrozumiałe, zważywszy na ich obsesyjną koncentrację na własnym wizerunku, połączoną z pogardą wobec swojej prawdziwej tożsamości. Bo osiągając sukces zawodowy i prywatną bliskość – o które tak bardzo zabiegał – narcyz ma poczucie, że na nie nie zasłużył, skoro zawdzięcza je starannie odgrywanej roli, a nie „właściwemu” sobie. Stąd też ciągły lęk przed demaskacją i związana z nim trudność w nawiązywaniu rzeczywiście bliskich relacji.

Źła odpowiedź na dobre pytanie

W „Upadku człowieka publicznego” Sennett pokazuje, że rozpowszechnienie narcyzmu jako zaburzenia psychicznego ma fundamentalne konsekwencje społeczno-polityczne. Prowadzi bowiem do fałszywego postrzegania społeczeństwa jako „wielkiego systemu psychicznego”.

Innymi słowy, ludzie okazują się tak bardzo zaabsorbowani sobą, że zasadniczo cierpi na tym ich percepcja świata zewnętrznego: interesuje on ich o tyle, o ile jest odbiciem tego, co dzieje się w ich wnętrzach. Oto „wszelkiego rodzaju stosunki społeczne są prawdziwe, wiarygodne i autentyczne, jeśli bliskie są wewnętrznym psychologicznym problemom każdego człowieka”.

Skąd tak głęboka zmiana? Jej genezy Sennett upatruje w (po Weberowsku rozumianej) samej istocie nowoczesności: kapitalizmie i sekularyzacji. Te dwa wielkie, rewolucyjne w swojej naturze, procesy razem wzięte – pogrzebały dawny, oparty na tradycji chrześcijańskiej i feudalizmie świat. Nowa, pozbawiona dawnego Boga i bogów rzeczywistość, skoncentrowana na urynkowaniu życia i wszechwładzy zeświecczonego rozumu, przy wszystkich zaletach – okazała się traumatyczna. Przyniosła bowiem także rozpad więzi społecznych, samotność, chłód, alienację, poczucie pustki.

Pojawiła się więc potrzeba ponownego „zaczarowania” świata. Zmarznięci nowoczesnością ludzie chcieli się ogrzać: stąd ekspansja narcyzmu. Aż po – jak mówi Sennett – dyktat „ideologii intymności”.

W jego ujęciu narcyzm jest więc błędną odpowiedzią na dobrze postawione pytanie, odreagowaniem traumy prowadzącym do kolejnej traumy, spontanicznym leczeniem dzumy cholera.

„Ideologia intymności”

Przyjrzyjmy się teraz bliżej tej „ideologii intymności”. Jej istotą jest to, że „przemiana kategorie polityczne w psychologiczne”. Składają się na nią – wylicza Sennett – trzy główne elementy.

Pierwszym jest uznanie bliskości międzyludzkiej za dobro moralne. Rzecz w tym, że wcześniej zarezerwowana była dla relacji prywatnych – z akceptacją zasady, że życie społeczne jest zbiorem konwencji, a cywilizowane, zachodzące w dużych grupach stosunki są możliwe dzięki nieobciążaniu ich ciężarem osobistych przeżyć. Teraz zaś bliskość stała się także celem publicznym, ze szkodą zarówno dla polityki, jak i życia prywatnego.

Co do tego ostatniego, „obciążamy bliskie stosunki z innymi ludźmi brzemieniem ukrytych pragnień bezpieczeństwa, odpoczynku i trwałości. Kiedy relacja z drugim człowiekiem nie może tego brzemienia unieść, dochodzimy do wniosku, że coś jest nie tak z samą relacją, a nie z niewypowiedzianymi oczekiwaniami”.

Drugi element ideologii intymności to aspiracja do rozwijania osobowości poprzez doświadczenie bliskości. Panuje przekonanie, że człowiek samorealizuje się tym bardziej, im więcej doznaje ciepła, łagodności, komfortu w relacjach z innymi.

I to jest ułuda. „Dzisiaj rozwój osobowości to rozwój osobowości uchodźcy. To z tej mentalności uchodźcy wynika nasza podstawowa ambiwalencja wobec agresywnego zachowania: agresja w stosunkach międzyludzkich bywa niezbędna, ale uznaliśmy ją za odrażającą cechę charakteru. Jakiego rodzaju osobowość rozwija się jednak poprzez doświadczenia intymności? Kształtować ją będzie oczekiwanie – albo i doświadczenie – zaufania, ciepła, wygody. Jak może znaleźć w sobie

dość siły, aby móc funkcjonować w świecie opartym na niesprawiedliwości?”

Wreszcie, ideologię intymności współtworzy mit o bezosobowości jako zła społecznym. Przywykliśmy sądzić, że najgorszymi plagami życia zbiorowego są chłód, alienacja, abstrakcyjność. „Ze strachu przed pustką ludzie wyobrażają sobie to, co polityczne, jako dziedzinę, w której osobowość będzie wyrażenie deklarowana. Stają się następnie biernymi obserwatorami osobowości politycznej, która przeciwstawia im swoje intencje i uczucia, a nie czyny”.

Polityka jest bowiem domeną stosunków bezosobowych: interesów, praw, dominacji i podporządkowania. Szukając w niej intymności, tracimy z pola widzenia istotę rzeczy. I stajemy się łatwym obiektem manipulacji: rzucając nam wypręparowane okruchy swojej prywatności, politycy i spin doktorzy notorycznie odwracają nasz wzrok od swoich działań istotnych, prawdziwie publicznych. W ten sposób potępienie bezosobowości „jest w rzeczywistości przepisem na polityczną pacyfikację”.

Bliskość jako zabójczyni wspólnoty

Narcystyczna ideologia intymności jest paradoksalna: dążenie do ocieplenia wychłodzonych przez nowoczesność relacji międzyludzkich ma skutek odwrotny do zamierzonego. Obsesja bliskości pozbawia bowiem ludzi oglądy, zabija towarzyskość i niszczy wspólnotę. W jaki sposób?

W języku angielskim pojęcia „oglądy” (civility) i „obywatelstwa” (citizenship) mają wspólny źródłosłów. Podobnie w polszczyźnie: „obywatel” oznaczał pierwotnie kogoś „obytego”, „bywałego”, a więc, innymi słowy: cechującego się oglądą.

Pisze Sennett: „Ogląda to takie działanie, które chroni ludzi przed sobą nawzajem, a zarazem pozwala im cieszyć się swoim towarzystwem. Istotą oglądy jest noszenie maski. Maski umożliwiają czyste obcowanie towarzyskie, oddzielone od zakresu władzy, złego samopoczucia i prywatnych uczuć tych, którzy je noszą. Celem oglądy jest ochrona innych ludzi przed obciążaniem ich swoją osobą”.

**Nadal umiemy mówić.
Ale w sferze publicznej
używamy tej zdolności
głównie do bełkotania
o sprawach nieistotnych**

Dominacja ideologii intymności oznacza przeciwieństwo tego stanu. To narzucanie innym osobistych przeżyć i problemów (w sklepie, w biurze, w studiu...). To grzebanie w prywatności osób publicznych, tak jakby detale ich życia intymnego: słabości charakterów, upodobania seksualne i tym podobne, przybliżały nas, a nie oddalały, od zrozumienia ich istotnych działań. To także epatowanie prywatnością, w tym zwłaszcza obsceną, w sztuce.

Czy to nie sprzeczne z wcześniejszymi uwagami o narcystycznej fiksacji na punkcie odgrywania ról? Nie: narcyzm można częściowo zdefiniować także jako wypaczenie postrzegania znaczenia społecznych masek. Akceptowana wcześniej reguła, że życie społeczne jest zbiorem konwencji, jest teraz odrzucana – ale na poziomie przeżywania psychicznego, a nie działania społecznego. Narcyz doświadcza traumy

w związku z koniecznością odgrywania ról, ale wcale nie dąży do zakończenia sztuki jakimś wywrotowym projektem politycznym. Co najwyżej dokonuje samobójstwa lub popada w depresję.

Inny, kluczowy wymiar współczesnego braku oglądy polega na – pisze Sennett – wypaczeniu sensu wspólnotowości. „Im mniejsza skala wspólnoty utworzonej przez osobowość zbiorową, tym bardziej destrukcyjne okazuje się w praktyce poczucie braterstwa. Autsajderzy, nieznajomi, inni stają się istotami, od których należy stronić”.

Jak mogłoby być inaczej, skoro wspólnoty tworzą się teraz w oparciu o bliskość, mogącą się sprawdzać tylko w relacjach prywatnych? Dlatego właśnie narcystyczna wspólnotowość oznacza, że „im więcej intymności, tym mniej towarzyskości”, i jest „odmianą braterstwa, która prowadzi do bratobójstwa”.

Pełzająca barbaryzacja

To skądinąd spostrzeżenie pokrewne diagnozie francuskiego socjologa Michela Mafesoliego. Opisał on „ponowoczesny” renesans wspólnotowości jako rozkwit „nowych plemion”, niszczycielski zarówno dla indywidualizmu, jak i dla więzi narodowych.

Z kolei ten neotrybalizm odsyła nas oczywiście do nierzadkich twierdzeń o wtórnym barbarzyństwie, w jakie popada współczesny Zachód. Czy rzeczywiście?

Dla starożytnych Greków i Rzymian barbarzyńcy byli ludźmi, z którymi przede wszystkim nie można się było komunikować – nie ze względu na różnice językowe, ale pojęciowe. Bo choć „ludy niecywilizowane” potrafiły mówić, to nie umiały – uważali starożytni – za pomocą mowy uzgadniać racji i interesów. Wy-

powiadane przez barbarzyńców słowa nie były więc w stanie złożyć się na racjonalny dyskurs publiczny.

Stąd też przemoc – z towarzyszącym jej nieuchronnie, tak charakterystycznym dla ludzi „spoza cywilizacji” okrucieństwem – jako podstawowy sposób rozstrzygnięcia konfliktów. W ten sposób owa praktyczna niezdolność do publicznego porozumiewania się, za jaką założyciele Zachodu uważali komunikowanie się poprzez bełkot („bar-bar”), prowadziła do bestialstwa.

Czy dzisiejsze wszechobecne gładzenie o sprawach prywatnych pod hasłami publicznej dyskusji nie jest czymś zasadniczo podobnym? Nasza mowa jest może bardziej rozwinięta niż kiedykolwiek. Gdy jednak przychodzi do rozmowy o polityce – przeważnie (i coraz bardziej) bełkocemy. Trawi nas więc pełzająca barbaryzacja.

Charyzmatyczny uwodziciel i tyrania intymności

Wracając natomiast do „Upadku człowieka publicznego”: Sennett przekonuje, że ekspansja narcyzmu prowadzi do wyniesienia nowego typu charyzmy politycznej. „Dzisiejszy przywódca charyzmatyczny eliminuje wszelki dystans między własnymi uczuciami i impulsami a uczuciami i impulsami swojego audytorium. Skupiając uwagę zwolenników na swoich motywacjach, sprawia, że przestają go oceniać na podstawie jego czynów”.

Czyż Donald Tusk nie jest ze swoją „polityką miłości” tego właśnie przykładem? Dominacja intymności w sferze publicznej – walenie wspierana przez lubiące jaskrawe skróty media elektroniczne – premiuje więc takich właśnie uwodzicieli, karcąc zarazem „partie niedostatku i powagi”, by przywołać określenie Petera Sloterdijka.

Tak oto narcyzm stał się nie tylko powszechnym zaburzeniem psychicznym, ale i niszczącą republikańską politykę zasadą społeczną.

Sennett konkluduje, że oznacza to tyranie intymności. „Nie polega ona na zmuszaniu, ale na wzbudzeniu wiary w jedyny standard prawdy, mierzący złożoności rzeczywistości społecznej. Tym standardem stało się ocenianie społeczeństwa w kategoriach psychologicznych”. Ulegliśmy temu złudzeniu tak dalece, że „w zachowaniu politycznym przestaliśmy się kierować rozumieniem realiów władzy. Skutek jest taki, że siły dominacji czy nierówności nadal działają bezkarnie”.

W tych kategoriach patrzy też Sennett na współczesną fiksję na punkcie samorządu. „Regionalizm i lokalna autonomia stają się popularnym kredo politycznym, jak gdyby stosunki władzy były tym bardziej humanitarne, im mniejsza skala jej sprawowania – choć rzeczywiste stosunki władzy rozrastają się w system światowy”.

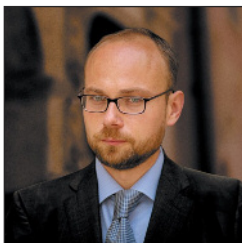
Kontrrewolucja pedagogiczna?

Co można z faktem tej tyranii intymności zrobić? Wiemy od de Tocqueville’a, że z miękkim despotyzmem walczyć jest dużo trudniej niż z twardym. Sytuację dodatkowo komplikuje sama natura narcyzmu jako zaburzenia. Bo powoduje on cierpienie, lecz zazwyczaj nie na tyle intensywne, żeby skłaniać do radykalnego przeciwdziałania: „Nie tworzy warunków, które mogłyby sprzyjać jego unicestwieniu”.

Sądzę, że potrzebna jest kontrrewolucja pedagogiczna. Klasyczna kultura i klasyczna edukacja stawiały na ogładę, dyscyplinę i hartowanie charakterów, jasno wytyczając granice między sferą prywatną a publiczną. Uważam, że powrót do tego modelu wychowania – zarówno w szkołach, jak i w domach – jest możliwy. Choć nie będzie łatwy ani szybki.

Alternatywą jest pełzająca barbaryzacja i polityczna pacyfikacja.

Rewolucyjno-umiarkowany program PiS



ARTUR WOŁEK

Politolog, autor książki „Słabe państwo”

Problem z nowym programem Prawa i Sprawiedliwości polega na tym, że choć deklaruje głębokie zmiany, nie mówi o prawdziwych narzędziach, które zamierza wykorzystać. Prawdopodobnie wyjdzie więc jak zawsze.

We współczesnej polskiej polityce programy już dawno przestały być czymś więcej niż wyrazem literackiej ekspresji zagonionych do ich spisania działaczy. Nikt też od partii realizacji programów nie wymaga ani się ich niezrealizowaniu nie dziwi. Kontrastuje to wyraźnie z niemal nabożnym podejściem, jakie do swoich programów mają np. ugrupowania brytyjskie czy niemieckie. Oraz ich wyborcy. Dla nas natomiast program partyjny to przede wszystkim deklaracja tego, jak formacja samą siebie postrzega, raczej na użytek działaczy niż wyborców.

Trzeba jednak przy tym przyznać, że spośród naszych partii akurat PiS swoje programy traktowało dość poważnie. To znaczy, poważnie traktowało ich pisanie, choć już nie realizację. Przed wyborami w 2005 r. wniosło bowiem do polityki świeże pomysły, ale jego rządy okazały się skrajnie reaktywne. Dziś wszystko wskazuje na to, że sytuacja może się powtórzyć.

W zaprezentowanym właśnie nowym programie tego ugrupowania wciąż bo-

wiem widoczne jest tamto rewolucyjno-umiarkowane rozdwojenie. Program wychodzi od napisanej językiem zachodnioeuropejskiej nowej lewicy lat 70. XX w. analizy kompradorskich elit pookrągłostołowych i ich dzisiejszego spadkobiercy, czyli „systemu Tuska”. Odrzucenie tego systemu, który według dokumentu sprzyja jedynie interesom „silnych grup nacisku, w tym grup zewnętrznych”, jest zaś osią całego programu.

Po tym radykalnym wstępie („Diagnozie”) następuje jednak część poświęcona szczegółowym rozwiązaniom problemów społecznych i gospodarczych, która jest znacznie bardziej wyważona. W dziedzinie gospodarki takie pomysły jak aktywny udział państwa w polityce na rzecz rozwoju, „udomowienie” banków, aktywizacja młodych bezrobotnych to w czasach kryzysu europejski i światowy mainstream.

Podobnie niekontrowersyjne jest wzmocnienie narzędzi sprawowania władzy przez premiera czy usprawnienie procesu legislacyjnego. Jest trochę pomysłów kontrowersyjnych (500 zł na każde dziec-

ko), a nawet groteskowych, w rodzaju odbudowy Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, jednak to nie one nadają ton stu kilkudziesięciu stronom dokumentu.

Wyraźnie brakuje natomiast szczerzej odpowiedzi na pytanie: kto to wszystko zrobi? Dlaczego zwycięstwo PiS miałyby zmienić nawyki urzędników, którzy „poradzili sobie” i z reformami rządu Buzka, i z kilkoma sensownymi pomysłami rządu Tuska?

Polskie ministerstwa to ciągle w większości branżowe, korporacyjne struktury służące własnym interesom, otoczone siecią klientów. Przekonanie, że pod wpływem zwycięstwa PiS staną się nagle rzecznikami racji stanu, to pobożne życzenie.

Podobnie, z trafnego stwierdzenia, że polskie banki są obecnie kapitałowo nadpłynne i należy ich środki wykorzystać dla polityki prorozwojowej, nie wynika, jak do tego przekonać prezesów banków. W Polsce, inaczej niż w Korei, strategia rządu nie jest naturalnym punktem odniesienia elit biznesu i politycy PiS doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Słowem, nie każdy kraj może ot tak zacząć prowadzić aktywną politykę gospodarczą czy przemysłową. Jeśli bowiem państwo polskie jest, jak w programie trafnie zauważono, słabe i trawione przez patologie, to próba zwiększania jego gos-

podarczej aktywności skończy się ręcznym sterowaniem całym procesem reform. To z kolei, z czasem, nieuchronnie prowadzi do recydywy władzy kolesiów.

Jeśli państwo polskie jest słabe i trawione przez patologie, to próba zwiększania jego gospodarczej aktywności skończy się ręcznym sterowaniem całym procesem reform

Programy polskich partii mają za zadanie przede wszystkim budować tożsamość wśród działaczy, a nie proponować realny plan działania. Paradoks tożsamości PiS polega zaś na tym, że z jednej strony formacja ta widzi kruchość struktur polskiego państwa, a z drugiej chce te struktury dodatkowo obciążyć, wierząc w ozdrowieńczą moc woli i charakteru swoich polityków. W bryku na użytek działacza taka sprzeczność nie razi, lecz z pewnością nie jest to realny program dla przyszłego rządu.

Tajwan jak Finlandia



RADOSŁAW PYFFEL

Prezes Centrum Studiów Polska–Azja

Tajpej zbliżyło się ostatnio do Pekinu. Czy oznacza to, że dojdzie do zjednoczenia? Bardziej prawdopodobne jest to, że w przypadku Tajwanu utrwali się model częściowej zależności.

11 lutego w Nankinie doszło do historycznego spotkania Wang Yu-chi, szefa tajwańskiej Rady ds. kontynentu, i jego odpowiednika Zhang Zhijuna, dyrektora biura ds. Tajwanu. Było to pierwsze oficjalne spotkanie przedstawicieli tych dwu państw od 1949 r., czyli od chińskiej wojny domowej.

Zbliżenie Tajwanu z kontynentalnymi Chinami trwa już jednak od jakiegoś czasu, a od 2008 r., kiedy rządy na Tajwanie objął Kuomintang (Chińska Partia Narodowa), stało się faktem. Przedtem porozumienia dotyczące np. komunikacji lotniczej podpisywali jedynie emerytowani oficjele lub szefowie teoretycznie prywatnych (ale przecież sponsorowanych i pozostających w kontakcie z rządem) fundacji.

Wielu obserwatorów usiłuje dziś odpowiedzieć na pytanie, czy spotkania takie jak to w Nankinie prowadzą do „zjednoczenia”. Wydaje się jednak, że ten ukształtowany w XX w. „dyskurs zjednoczeniowy” już chyba nie do końca trafnie opisuje

skomplikowane negocjacje pomiędzy Tajwanem a kontynentalnymi Chinami.

Jest tak choćby dlatego, że na kontynencie na stałe przebywa blisko 10 proc. populacji Tajwanu, czyli ok. 2 mln, a kolejny milion przyjeżdża tam do pracy. Są to głównie przedstawiciele wolnych zawodów, dziennikarze, gwiazdy show-biznesu, lecz także dentyści, restauratorzy, nauczyciele, a przede wszystkim menedżerowie i przedsiębiorcy. Wszyscy oni czerpią spore korzyści z ogromnego, bogatego się rynku, którego konsumenci wyrastają z tej samej kultury, mówią tym samym językiem i, co ważne, pragną tajwańskiego stylu życia.

Największym osiągnięciem niedawnego spotkania w Nankinie jest w tym kontekście otwarcie biur przedstawicielskich. Oznacza to, że Chińczycy z kontynentu mieszkający lub odwiedzający Tajwan i Tajwańczycy na kontynencie będą mieli swoje de facto (choć nie de iure) konsulaty udzielające im pomocy w miejscu zamieszkania.

Jeśli patrzeć na politykę prezydenta Tajwanu Ma Yin Jiu z perspektywy zero-jedynkowej, to Ma od 2008 r. kupczy niepodległością, zamieniając ją na bezpośrednie loty i większy komfort Tajwańczyków.

Jeśli natomiast przyjąć założenie, iż w dzisiejszym świecie na luksus całkowitej suwerenności mogą sobie pozwolić tylko niektóre państwa (np. USA, Chiny, Rosja i Indie), to Ma wytargował dla swoich wyborców całkiem sporo, być może więcej niż Polska w UE czy w relacjach z Rosją.

Jak historia oceni jego politykę, pokaże czas. Tymczasem wyborcy oceniają go fatalnie. Według ostatnich sondaży ma zaledwie 9 proc. poparcia i w 2016 r. odejdzie w niesławie. Prezydent Ma zdążył jednak dojść do punktu, w którym skutki jego politycznych decyzji zbliżających Tajwan do Chin mogą być nie do odwrócenia. Zostawia on więc swojemu, wywodzącemu się z obozu niepodległościowców, następcy twardy orzech do zgryzienia.

Tajwańska opinia publiczna ze swej strony nie wzbrania się przed zacieśnianiem relacji z kontynentem, ale tylko, jeśli tak jak do tej pory będzie to przynosić

Tajwanowi korzyść. Jednocześnie nikt na wyspie nie chce słyszeć o formalnym zjednoczeniu. Według ostatnich badań sprzeciwia mu się 80 proc. ludności.

Prezydent Tajwanu wytargował dla swoich wyborców od Chin całkiem sporo, być może więcej niż Polska w UE czy w relacjach z Rosją

Najtrafniej tę skomplikowaną sytuację opisał Ted Galen Carpenter z Cato Institute, twierdząc, iż od reunifikacji bardziej prawdopodobna jest finlandyzacja Tajwanu. Wyspa, decydując o swoich sprawach wewnętrznych, będzie bowiem jednocześnie tak mocno związana z Chinami, że w wielu wypadkach, by nie drażnić potężnego sąsiada, nie będzie podejmować decyzji, które mogłyby wywołać jego niezadowolenie.

Brakuje nam konsumenckiego ruchu oporu



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
publicysta „Nowego Obywatela”

Bojkot konsumencki wciąż jest w Polsce czymś rzadko praktykowanym. A przecież nowoczesne formy obywatelskiego sprzeciwu są jednym z najbardziej efektywnych sposobów budowy więzi społecznych.

W maju 2007 r. na łamach brytyjskiego lewicowego tygodnika „The New Statesman” ukazał się artykuł Stephena Armstronga pod znamienym tytułem „Bunt konsumentów”. Tekst przedrukowaliśmy w „Nowym Obywatelu” jeszcze w tym samym roku. Lead brzmiał: „Rodzi się nowy ruch. Ruch bojowych konsumentów, uderzający wielkie koncerty tam, gdzie najbardziej boli – po kieszeniach. Tworzy go przede wszystkim klasa średnia, która mając serdecznie dość tragicznie niskiej jakości świadczonych usług, postanowiła się wreszcie zbuntować”.

Konsument co się kapitałowi nie kłania

Armstrong opisywał różne przykłady masowego konsumenckiego/obywatelskiego sprzeciwu wobec wszechwładzy wielkiego kapitału, od strajku taryfowego przeciw przewoźnikowi First Great Western po ruch konsumenckiego oporu przeciw brytyjskiemu sektorowi bankowemu, przez protesty wobec nieuczciwych przedsię-

biorców. Te ostatnie miały w sobie dozę humoru, o którą zwykle Wyspiarzy nie podejrzewamy. Otóż obywatelski ruch The Complaints Choir of Birmingham (Chór Niezadowolonych z Birmingham) zachęcał mieszkańców do wyśpiewania przed siedzibami nierzetelnych firm swoich skarg i zażaleń przeplatanych refrenem „I want my money back”.

Akcje nie pozostawały bez skutku. Przedsiębiorstwo First Great Western pod wpływem strajku taryfowego wypożyczyło od innych przewoźników dodatkowy tabor kolejowy, by poprawić standard podróży. Z kolei inicjatywa Consumer Action Group, przeciwstawiająca się nieuczciwym praktykom banków wobec słabo znających prawo konsumentów spowodowała obniżenie dochodów sektora bankowego o blisko 11 mln funtów szterlingów (choć brytyjska prasa twierdziła, że realnie kwota ta wyniosła nawet 60 mln).

Inna z inicjatyw pomogła zainteresowanym Brytyjczykom „uniknąć postawienia przed sądem za nieuiszczanie abonamentu na rzecz stacji BBC”. Tak właśnie

wygląda aktywne społeczeństwo w akcji, społeczeństwo świata kapitalistycznego, które się kapitałowi nie kłania. W publicystycznym skrócie: widać jak na dłoni, że na Zachodzie późniejszy ruch Occupy nie wziął się znikąd. Tradycje sprzeciwu obywatelskiego są tam czymś mocnym i efektywnym. To pokazuje równocześnie, jak wiele łączy rynek i społeczeństwo: także poprzez możliwość wywierania nacisku na podmioty gospodarcze.

Protesty w ideologicznym potrzasku

A jak jest u nas? Posługując się eufemizmem: mizernie. Warto porozmawiać o przyczynach, zamiast skupiać się na tradycyjnych bójkach między lewicą a prawicą. Trzeba będzie jednak do realiów tego stałego i nieuniknionego konfliktu nawiązać. Gdy z inspiracji Młodych Socjalistów środowiska lewicowe nawoływały do bojkotu firmy LPP, szczególnie na (neo)liberalnej prawicy rozległy się głosy sprzeciwu wobec tej akcji.

Gdy z kolei swoje skromne bojkoty konsumenckie, dyktowane zwykle kwestiami obyczajowymi i tożsamościowymi, organizowała prawica, na lewicy wyśmiewano je jako kolejny przejaw „prawicowego ciemnogrodu”. Tak to się toczy. Obie strony sporu szachują się ideologicznie, ku niezmiernej radości podmiotów, przeciw którym kierowane są rachityczne w porównaniu z zachodnimi formy protestów. A milcząca większość i tak ma to wszystko w... „najgłębszym poważaniu”.

Także media głównego nurtu nie są na ogół zainteresowane w nagłośnianiu spraw konsumenckich. Pełnią na ogół rolę rzeczników prasowych ideologii wielkiego kapitału, której częścią jest podtrzymywanie braku zainteresowania dla

istniejących konfliktów interesu na linii rynek–społeczeństwo. Nie bez przyczyny. Ich uzależnienie od pieniędzy reklamodawców wciąż narasta.

Ale nie tylko w tym rzecz. Polska Agencja Prasowa opublikowała niedawno dane ujawnione przez spółki giełdowe, z których wynika, że środki przekazu w największym stopniu kształtujące opinię publiczną w coraz większym stopniu należą do Otwartych Funduszy Emerytalnych. Nie trzeba nikogo przekonywać, w jaki sposób wpływa to choćby na obiektywizm i rzetelność mediów w kwestii dyskusji nad systemem ubezpieczeń społecznych.

Od kolektywizmu PRL szybko przeszliśmy do skrajnego indywidualizmu III RP, po drodze tracąc niemal cały impet pierwszej „Solidarności”

Przyjrzyjmy się liczbom zawartym w zestawieniu przedstawiającym zaangażowanie OFE w kapitał zakładowy spółek wchodzących w skład indeksu giełdowego mWIG 40. Jedenaście funduszy na koniec 2013 r. było w posiadaniu aż 51,05 proc. akcji Agory. Oznacza to wzrost o 3,75 pkt. proc. w porównaniu do 2012 r. Z kolei dwanaście Funduszy posiada udziały w TVN (31,58 proc.) Tymczasem w Cyfrowy Polsat w minionym roku inwestowało trzynaście OFE (20,41 proc. udziałów). Wniosek jest o tyle banalny, ile brzemienne w długofalowe konsekwencje społeczne: wielki pieniądz ma wpływ na masową publicystykę i urabia opinię publiczną

wedle własnych potrzeb. Obywatele, aktywni konsumenci na wsparcie wpływowych ośrodków medialnych nie mają co liczyć.

Od kolektywizmu do indywidualizmu

Istnieje jeszcze jedna, bodaj najważniejsza, kwestia, która powoduje, że ruch konsumenckiego oporu jest w Polsce tak słaby. To sprawa dość drażliwa, szczególnie po lewej stronie debaty publicznej. Choć na ogół w rodzimych warunkach lewica znacznie lepiej niż zafiksowani na punkcie ekonomizmu liberałowie wykorzystuje dorobek socjologii, to ona ma pewien „ślepy punkt”.

Otóż nie wie na ogół lub woli udawać, że nie wie, czym skończył się dla polskiego społeczeństwa okołosowiecki socjalizm. A skończył się ogromną biernością społeczną. Procesy społeczne mają charakter długofalowy i wieloaspektowy. Dwadzieścia kilka lat III RP to dość dużo w skali życia osobniczego człowieka, ale z perspektywy historycznej to niecałe trzy dziesiętne stulecia.

Wąsko rozumiany postkomunizm nie jest dziś poważnym wyzwaniem politycznym czy partyjnym. Ale wciąż jest znacznym problemem wspólnotowym, którego efektem jest bierność obywatelska i nagromadzenie brudnego kapitału społecznego. Od kolektywizmu PRL szybko przeszliśmy do skrajnego indywidualizmu III RP, po drodze tracąc niemal cały impet pierwszej „Solidarności”.

Jeśli przyjrzeć się sytuacji dziejowej, na dobrą sprawę nigdy nie mieliśmy większych szans na budowę powszechnego społeczeństwa aktywnych obywateli. Prze-

cież II RP, choć zdecydowanie inna od PRL, stała dopiero na początku własnej, szybko zresztą zakończonej i burzliwej, historii, a i wówczas ewoluowała w niezbyt szczęśliwym kierunku. Polska obywatelska, republikańska czy społeczna, w tym Polska świadomych konsumentów, walczących skutecznie o swoje racje i interesy, to wciąż forma zalążkowa.

Czy sytuacja jest beznadziejna? Nie. Dlatego potrzebujemy zarówno Marszów Niepodległości, jak i protestów związkowych. Potrzebujemy zarówno moherowych beretów, jak i skłotersów. Potrzebujemy protestów rodziców niepełnosprawnych dzieci przeciw polityce państwa wobec nich i małych, niezależnych inicjatyw medialnych.

Potrzebujemy bojkotów konsumenckich organizowanych zarówno przez środowiska lewicy, jak i prawicy. Potrzebujemy ruchu lokatorskiego, który już dziś często idzie w poprzek tradycyjnych podziałów i wojenek, ponieważ lewicowi aktywiści pomagają zagrożonym eksmisjom starszym kobietom słuchającym Radia Maryja.

Potrzebujemy każdej dostępnej formy sprzeciwu, także konsumenckiego, który powiększy realny zasób naszego społecznego kapitału, ponieważ to jedna z nielicznych możliwych dróg obywatelskiego „wybicia się na niepodległość” i zwiększenia kontroli nad sferą publiczną przez „zwykłych ludzi”. Alternatywą jest dalsza supremacja biznesowo-politycznej oligarchii i coraz bardziej wyobcowanej i podatnej na lobbings wielkiego kapitału klasy politycznej. A to nie wróży niczego dobrego.

Gospodarzem samorządu muszą być mieszkańcy



JÓZEF ORZEŁ

Polityk, filozof, menedżer

To nie liczba województw jest ważna, tylko to, na ile ludzie czują się w nich u siebie. Bardziej niż kolejna reforma administracyjna potrzebna jest zmiana relacji pomiędzy władzą a obywatelem.

Toczący się na łamach „Nowej Konfederacji” spór wokół oceny reformy samorządowej z 1998 r. (por. [tekst](#) B. Radziejewskiego, [polemikę](#) R. Matyi i [odpowiedź](#) B. Radziejewskiego) skupia się na rozwiązaniach technicznych i nie dotyka istoty sprawowania władzy w Polsce oraz tego, jaka rola w tym procesie przypada samorządom. Władza jest zaś w Polsce coraz bardziej scentralizowana, ludzie stają się mało aktywni, a instytucje się upartyjniają.

Organiczne gminy i sztuczne powiaty

Żyjemy w ustroju politycznym, w którym rząd zawsze wie lepiej i robi swoje. Ten stan rzeczy może naturalnie przez jakiś czas potrwać. Na dłuższą metę, aby przetrwać konkurencję z innymi, każde państwo potrzebuje jednak generowanej lokalnie energii społecznej. Dlatego właśnie obywatel powinien być jednostką samorządną, a nie tylko administrowaną.

Samorządny obywatel musi zaś się czuć organicznie związany ze swoją wspól-

notą. Taką wspólnotą, którą każdy w Polsce zna i rozumie, jest gmina. Sądzę, wręcz, że największe, w dziedzinie samorządności, osiągnięcie ostatniego trzydziestolecia to ustawowe wprowadzenie samorządu gminnego w 1990 r. Gmina z nowymi, zwiększonymi kompetencjami i z demokratycznie wybieranymi władzami była blisko człowieka, jej mechanizm ustrojowy był zrozumiały, dawała szansę na realną demokrację lokalną i rozwój społeczno-ekonomiczny.

Gminy i miasta po roku 1990 poczęły też odgrywać sporą rolę w polityce krajowej. Samorządy zrzeszone w Związku Miast Polskich wraz z organizacjami skupiającymi gminy wiejskie, małomiasteczkowe i metropolitalne mogły w starciu z rządem skutecznie bronić swoich racji przed Trybunałem Konstytucyjnym. Przerzucanie kosztów związanych z ochroną zdrowia, edukacją, drogami itp. na władze lokalne nie było więc wtedy tak łatwe jak dziś. A chcąc przeprowadzać większe inwestycje, gminy mogły się zrzeszać w celowe „związki międzygminne”.

Największym złem reformy samorządowej z 1998 r. jest w mojej ocenie to, że powiaty będące wtedy tworem sztucznym odebrały część kompetencji (formalnie i nieformalnie) już całkiem dobrze radzącym sobie gminom. Kompetencje powiatu, czyli przede wszystkim drogi i służba zdrowia nie tworzą przy tym całości zdolnej do samodzielnego rozwoju, a ich finanse tego rozwoju nie zapewniają.

Samorządy wszystkich szczebli dostają obecnie zbyt niski udział w podatkach i niewystarczające dotacje, więc ich polityczna pozycja w dużym stopniu zależy od decyzji rządu i parlamentu. Rząd zaś często ze swej strony poprzez samorządy ukrywa swoje błędy, dając im nowe zadania, a nie dając (wystarczających) pieniędzy. Partie tymczasem spokojnie w samorządach upychają swoich, mniej ambitnych działaczy.

Regiony i miasta-wampiry

Stworzenie szesnastu regionów wojewódzkich samo w sobie nie jest pomysłem chybionym. Problem polega raczej na wyborze dynamiki rozwojowej, której jeden wariant minister Boni opisał mianem modelu dyfuzyjno-polaryzacyjnego.

Model ten opiera się bowiem na promowaniu rozwoju metropolii, czyli obszarów wielkomiejskich, i ich okolic, które szczególnie pod względem finansowym, demograficznym i edukacyjnym są samorozwojowe. W Polsce takich prawdziwych metropolii na pewno jest mniej niż 16 (Warszawa, Kraków, Poznań, Wrocław, Szczecin, Łódź, Kielce, układ Bydgoszcz–Toruń, aglomeracja śląska, Trójmiasto, może Lublin). Do tego dokooptowano jeszcze kilku pretendentów, aby wypełnić mapę – szczególnie w Polsce Wschodniej

– i tak powstała lista nowych miast wojewódzkich.

W teorii centra te miały się stać motorem regionów. Miały edukować młodzież, napędzać gospodarkę, rozwijać kulturę. Paliwem miały być środki europejskie. Najpierw Bruksela stawiała na całe regiony, potem skoncentrowała się na metropoliach. To tam skupia się kapitał ekonomiczny, społeczny i intelektualny. Podparciem planistycznym miał być program Polska 2030 Michała Boniego. Nie został on jednak wprowadzony w życie. Sprzeciwiła się temu Komisja Europejska, obawiając się dramatycznego wzrostu nierówności pomiędzy centrami i ich peryferiami. Zwyciężyła (jak na razie) strategia zrównoważonego rozwoju.

Największym złem reformy samorządowej z 1998 r. jest to, że powiaty będące tworem sztucznym odebrały część kompetencji, a więc i szans rozwoju, całkiem dobrze radzącym sobie gminom

Mimo to od kilku lat Polska rozwija się tak, jakby model Boniego obowiązywał. Polaryzacja pomiędzy metropoliami a ich otoczeniem narasta. Ten sam proces następuje też pomiędzy Polską Zachodnią a Wschodnią. Dyfuzji, czyli przenikania wzajemnych korzyści, brak zaś zupełnie. Duże miasta to dziś wampiry przyciągające kapitał każdego rodzaju i wysysające

wszystkie siły vitalne z prowincji, która biednieje, wyludnia się i podupada.

Polska gminna, jak to już zostało powiedziane, nie bardzo może się też bronić politycznie. Po pierwsze, powiat jako niepotrzebny pośrednik pomiędzy gminą a regionem/województwem zmniejszył aktywność i potencjał gmin. Zahamowana została więc rewitalizacja wspólnot lokalnych.

Po drugie, w Polsce nie ma tak jak w Niemczech (Bundesrat) ciała reprezentującego interesy regionów, a samorządowcom nie wolno łączyć swoich funkcji z mandatem poselskim i senatorskim. W efekcie nasz system polityczny jest niebilansowany. Władza wykonawcza wraz z ustawodawczą zwyczajnie przepychają w Sejmie, co im się żywnie podoba.

Po trzecie, partie umocowane przy władzy centralnej decydują o listach wyborczych do parlamentu i równocześnie w coraz większym stopniu opanowują samorządy, zamieniając ich organy w swoje synekury. Sprawia to, że cała związana z polityką infrastruktura intelektualna trzyma się obecnie jak najbliżej Warszawy i innych metropolii.

Szansa na normalność?

W Polsce obecnie doszło do tak wielkiej centralizacji i koncentracji faktycznych decyzji o znaczeniu politycznym, że z konieczności każda reforma musi się zacząć w centrum władzy. Tylko tam może zapaść decyzja o stworzeniu pola dla obywatelskiej aktywności, która mogłaby efektywnie

kontrolować (i wspierać) władzę publiczną. Oddolnie możemy się zaś spodziewać chyba tylko buntu czy rewolucji, a te z reguły kończą się źle – szczególnie dla ich uczestników.

Niestety nadal nie dyskutuje się nad alternatywą dla modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego. Spory o to, czy województw powinno być 16, czy 49, są jałowe, albowiem dotyczą wyłącznie warstwy administracyjnej (narzędzia), a nie rozwojowej (celu).

W Polsce potrzeba zmiany głębszej niż kolejna reforma administracji – zmiany samej zasady ustrojowej. Przedtem należy jednak wiedzieć, jak i na co ją zmienić.

Energia, którą można byłoby nowo otwarte obszary zagospodarować, wciąż zaś w społeczeństwie istnieje. Jest związana z bezpośrednim interesem ludzi, ich „kieszeniami”, domem, rodziną, dziećmi. Dowodzi tego przykład Miasteczka Wilanów – twardo proplatformerskiego „Leningradu”, którego młodzi mieszkańcy żyją w drogich mieszkaniach, w blokach stojących w szerym polu; bez przychodni, szkół, przedszkoli, żłobków i sklepów.

Faktycznie, w wyborach miejskich, parlamentarnych i prezydenckich padł tutaj krajowy rekord poparcia dla kandydatów PO. Ale już w wyborach do rady dzielnicy PO została zdeklasowana przez Stowarzyszenie „Miasteczka Wilanów”, które uparcie walczy o polepszenie warunków życia na nowym Wilanowie. A że mieszkańcy mają poczucie humoru, chcą nazwać malutkie skrzyżowanie na swoim osiedlu „Rondem Leminga”.

Pułapki tezy postkolonialnej



LESZEK SKIBA

Ekspert ds. ekonomii politycznej
i członek Rady Instytutu Sobieskiego

Radziejewski wierzy, że im większy jest wpływ ośrodków zewnętrznych, tym słabsze jest państwo. Jego błąd polega na tym, że uznaje, iż do gry w piłkę nożną potrzebne są narty.

Bartłomiej Radziejewski zarzuca Grzegorzowi Pytlowi, że pytając, czy rządzą nami durnie, zaciemnia, a nie wyjaśnia, dlaczego polskie państwo jest nieefektywne. W rzeczywistości jednak to Bartłomiej Radziejewski zaciemnia, gdyż stara się odpowiedzieć na kilka pytań za jednym razem. To tak, jak gdyby chciał wystąpić w kilku grach jednocześnie, w tenisie stołowym, piłce nożnej i skokach narciarskich. Tego wszystkiego nie da się osiągnąć na jednym boisku.

Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi

Pytając o Polskę, Radziejewski pyta równocześnie o nędzę polskiej polityki, o nieefektywność w stawianiu i realizowaniu celów rozwojowych dla Polski i wreszcie o reguły rządzące współczesnym światem. Oczywiście, w pewnym stopniu obszary te wiążą się ze sobą, lecz błędne jest przekonanie, że istnieje jedna odpowiedź na te trzy problemy. Efektem są tak dziwaczne i prowadzące do ślepego zaułka wnioski

jak te, gdy Radziejewski na pytanie o przyczyny braku strategii dla Polski odpowiada, posługując się pojęciem „kolonizacji” i „wyzysku”.

Redaktor naczelny „NK” odnajduje źródła problemów Polski w jej penetracji przez zewnętrzne ośrodki. Gdyby był to rzeczywiście najważniejszy problem, przed którym stoi nasz kraj, to pojęcie suwerenności byłoby pojęciem pustym. Nie istnieje bowiem na świecie państwo, które nie jest poddane formalnym lub niejawnym wpływom zewnętrznych ośrodków. Ambasadory wielkich mocarstw oddziałują na politykę prawie wszystkich krajów, a państwem utrzymującym prawdziwą niezależność jest już chyba tylko Korea Północna.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład Niemiec. Czy głęboka penetracja tego kraju przez państwa zewnętrzne powoduje, że Berlin nie stawia sobie celów strategicznych? Jest odwrotnie, w funkcjonowaniu efektywnego systemu rządzenia oddziaływanie ośrodków zewnętrznych w niczym nie przeszkadza.

Nikt chyba nie ma wątpliwości, że Niemcy potrafią osiągać swoje cele narodowe. Na czym polega ten wpływ ośrodków zewnętrznych na niemieckie państwo? Warto zwrócić uwagę, że skala penetracji (lub, jak woli Radziejewski – „kolonizacji”) Niemiec jest nie mniejsza niż Polski.

Przykładów jest wiele, po pierwsze to pozostałości po Stasi, pozwalające Rosji na utrzymanie wpływów (nie zapominajmy, gdzie zatrudniony został jeden z ostatnich kanclerzy Niemiec). Po drugie ogromne są też wpływy Stanów Zjednoczonych, nie tylko w służbach specjalnych (kto założył Federalną Służbę Wywiadowczą – BND, i kto finansował te służby przez wiele lat całkowicie poza kontrolą rządu Niemiec?).

**Czy to, że Niemcy są silnie
wspawane w świat zachodni,
oznacza, iż są państwem
niesuwerennym?**

Przecież to absurd

Wpływy te są nie tylko efektem historycznym, wynikającym z tzw. kolonizacji po II wojnie światowej. Mają one również bardziej współczesny charakter: odsyłam tutaj do prawdziwej historii Angeli Merkel, opisanej np. przez Tomasza Gabisia, która pokazuje, dlaczego pani kanclerz nie była zaskoczona, że podsłuchiwały ją amerykańskie służby specjalne.

Takie przykłady można mnożyć, poczawszy od penetracji Włoch (skąd się wzięło Gladio, jak tak naprawdę było z Aldo Moro, jak Giorgio Napolitano został eurokomunistą i co pisze o Prodim Mit-

rochin?), przez skalę oddziaływania w Hiszpanii (jak następował proces przejścia Franco na stronę Zachodu?), na wielu innych krajach skończywszy. Jeśli ktoś lubi takie ciekawostki, może znaleźć ich wiele. Trzeba jednak zachować zdrowy rozsądek i umieć wyciągać racjonalne wnioski.

Iluzja neokolonializmu

Czy to, że Niemcy są silnie wspawane w świat zachodni, oznacza, iż są państwem niesuwerennym? Przecież to absurd. Oddziaływanie ośrodków zewnętrznych, łącznie z Bankiem Światowym, Międzynarodowym Funduszem Walutowym, Komisją Europejską, Komisją Trójstronną itd., nie determinuje kraju do braku potencjału w tworzeniu i realizacji celów strategicznych.

Radziejewski wierzy, że im większy jest wpływ ośrodków zewnętrznych, tym słabsze jest państwo. Jego błąd polega na tym, że uznaje, iż do gry w piłkę nożną potrzebne są narty. Martwi się bowiem, jak osłabić ośrodki zewnętrzne i jak się od nich uniezależnić. Krytykuje skalę zależności gospodarki polskiej od gospodarki niemieckiej. Trapi się nad nadmierną obecnością zagranicznego kapitału.

Wydaje mu się, że to obecność niemieckiego kapitału oraz historyczna rola Międzynarodowego Funduszu Walutowego w czasie transformacji powodują, że efektywność polskiej administracji jest niska. Tak, jakby w 1989 r. przedstawiciele MFW rzucili czary na Polskę, która tkwi w śnie, i tylko pocałunek heroicznego rycerza walczącego o nieingerencję zewnętrznych ośrodków doprowadzi do tego, że polskie cele strategiczne będą osiągnięte, a autostrady budowane dobrze i tanio.

Polityka bez ułudy

Mrzonki o wychodzeniu poza system zachodni są niebezpieczne, gdyż wiążą się z anarchi-styczną iluzją, że poza systemem jest wolność. Tymczasem poza systemem zachodnim kraje nie są bardziej suwerenne, lecz uzależnione od znacznie mniej cywilizowanych hegemonów. Polska ćwiczyła to już niestety przez ostatnie 200 lat. Warto dlatego, by Radziejewski przyjrzał się Turcji, która w ostatnich latach przechodzi proces osłabiania wpływów zachodnich – i jakie są tego efekty? (kto np. wygrał ostatni turecki kontrakt na system obrony rakietowej?).

Skuteczność osiągania celów strategicznych przez kraje to całkiem inny problem niż zajęcie miejsca w rywalizacji współczesnych mocarstw. O tym właśnie pisał Grzegorz Pytel. Powstało też na ten temat wiele interesujących książek, więc nie warto wszystkich tych argumentów powtarzać.

W przypadku Polski problem dotyczy konieczności osłabienia sił, które są w naszym kraju niezwykle wpływowe, oraz wzmocnienia instytucji publicznych. Przykłady krajów skandynawskich oraz wielu innych państw zachodnioeuropejskich pokazują, że możliwe jest posiadanie infrastruktury efektywnego rządu w warunkach znaczącego wtopienia w system zachodni.

Należy jednak rozpoznać reguły gry, wedle których kluczem do sukcesu jest skuteczna współpraca sektora publicznego i prywatnego, związanie firm krajowych z centrami rozwoju w świecie zachodnim, wsparcie dla procesów modernizacyjnych, trzeźwa ocena swojego potencjału i wzmocnienie instytucji publicznych. Działania te w perspektywie najbliższych dekad mają za zadanie doprowadzić do przesunięcia Polski w ramach systemu zachodniego z trzeciej ligi do drugiej.

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Pięćdziesięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa:

Michał Kuź

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa